



Wojewódzkie biblioteki – im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze i im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie – na początku każdego roku organizują konkurs w trzech kategoriach o:

- **Lubuski Wawrzyn Literacki** dla związanego z Ziemią Lubuską autora najlepszej książki literackiej wydanej w minionym roku,
- **Lubuski Wawrzyn Naukowy** dla autora wydanej w minionym roku najlepszej książki naukowej o Ziemi Lubuskiej. Podobny tytuł otrzymuje również autor najlepszej książki popularnonaukowej dotyczącej regionu,
- **Lubuski Wawrzyn Dziennikarski** za najlepsze materiały dziennikarskie z minionego roku.

Nagrodą jest statuetka w formie gęsiego pióra, dyplom i honorarium finansowe.

Do 25. edycji Lubuskich Wawrzynów Literackich zgłoszono 36 książek, a jury tytuł ten przyznało w prozie **Halinie Grochowskiej za powieść „Poprawiny”** (1), zaś w poezji **Michałowi Banaszakowi za tom wierszy pt. „Miejsca”** (2). W tej kategorii **Srebrne Sokole Pióro** rektora Akademii Jakuba z Paradyża za najlepszy debiut roku 2018 otrzymał **Marek Krukowski** za tom wierszy **pt. „Udręczenie”**, a **Jerzy Gąsiorek (Gąsior)** z **Gorzowa dostał dyplom Wawrzynu Literackiego za całokształt twórczości**. Takie same wyróżnienia otrzymali **Jerzy Hajduga, Katarzyna Jarosz-Rabiej, Władysław Kłępka i Zbigniew Ryndak** (4).

Nominację do Wawrzynu otrzymała książka **Marka Stachowiaka pt. „Tata jest od tego”** (3). **Nie wiem, jakimi kryteriami oceniała tę książkę Kapituła, że nie przyznała jej autorowi Sokolego Pióra za najlepszy debiut poetycki ubiegłego roku...**

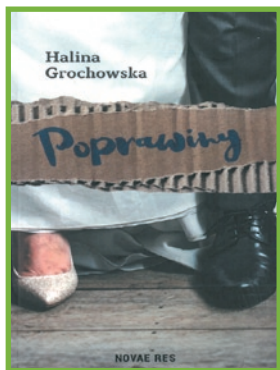
Do 14. edycji Lubuskiego Wawrzynu Naukowego zgłoszono 25 książek, spośród których za najlepszą uznano książkę **pt. „Lubuski atlas ornitologiczny. Ptaki lęgowe Ziemi Lubuskiej”** autorstwa grupy naukowców w składzie: **dr Paweł Czechowski, dr Marcin Bocheński, Sławomir Rubacha, dr Olaf Ciebiera, Grzegorz Jędro i prof. Leszek Jerzak** (5). Wawrzyn za najlepszą książkę popularnonaukową otrzymał **Lech Dominik z Gorzowa za opracowanie albumu „Waldemara Kućki spacer po Gorzowie”**.

O Lubuski Wawrzyn Dziennikarski ubiegało się 21 dziennikarzy z prasy, radia i telewizji. Jury za najlepsze uznało zestaw artykułów o tematyce historycznej i społecznej red. **Dariusza Chajewskiego** (6) z „**Gazety Lubuskiej**”. **Maciej Piotrowski** dostał dyplom dla wyróżniającego się młodego dziennikarza, a **Zbigniewa Bodnara z Radia Zachód nagrodzono za całokształt twórczości** (7). Specjalnym wyróżnieniem uhonorowano też redakcję „**Gazety Lubuskiej**”.

Dyplomem za walory edytorskie uhonorowano **Centrum Promocji Kultury w Drezdenku za książkę Jana J. Maćkowskiego „Orkiestry dęte w tradycji kulturowej Drezdenka 1948-2018”**.

Uczystość wręczenia Wawrzynów odbywa się zielonogórskiej księżnicy w ostatni czwartek lutego w dawnej Sali Dębowej, obecnie przemianowanej na Salę im. Janusza Koniusza. Na uroczystej gali spotykają się czołowi literaci, naukowcy i dziennikarze, a towarzyszą im przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich z Zielonej Góry i Gorzowa. Jest to co roku prawdziwe święto lubuskiej humanistyki. Galę wręczenia Wawrzynów na żywo transmitowano na YouTube.





Jerzy Madejski GADANIE, MIŁOŚĆ, PGR

UZASADNIENIE WYBORU

Co zawdzięczamy Halinie Grochowskiej? Świetny tytuł powieści. „Poprawiny” to bowiem to, co następuje po weselu. A dobrze wiemy, co ten tytuł znaczy w literaturze i kulturze polskiej. Jesteśmy więc oswojeni z „weselem”. Pytanie, czy jesteśmy przygotowani na „poprawiny” Haliny Grochowskiej.

W powieści poznajemy PRL jako czas historii i jako autonomiczną formację kulturową. Ma ona swój rytm, wyznaczony ceremoniami państwowymi, ale też rozpoznawalnymi pozycjami ubogiego przecież programu telewizyjnego (serial „Święty”).

Ale w tej rekonstrukcji przeszłości pojawiają się też poszczególne środowiska: pracownikó w biurach i robotnic zakładu włókienniczego. Halina Grochowska portretuje Ziutka. Jego niezwykły status w zakładowej społeczności wynikał z częstych podróży. Ziutek bowiem był „zorientowany w tym, co przywieźć: ze wchodu złoto, kawior, lalki dla dzieci, żelazka, przenośne małe telewizory, radyjka. Z NRD – czajniki z gwizdkiem, z Bułgarii – kożuszki, modne sweterki i bluzeczki” (s. 39).

Na kartach powieści Grochowskiej spotkamy też dziewczyny, które przyjeżdżają z okolicznych wsi i szukają swojej szansy w Zielonej Górze. Poznajemy historię Janeczki, kobiety samotnie wychowującej dziecko, która zatrudnia się w zakładzie włókienniczym Polska Wełna (s. 23).

Jednak może najwięcej dowiemy się o minionych czasach z historii Zuzanny i Józka. Wydawca na okładce poleca książkę notą „Miłość w czasach PRL-u”. Chętnie bym ją zmodyfikował na „Miłość w czasach PGR-u”. Rzeczywiście wątek romansowy jest zajmujący. Zaczyna się od nocnej rozmowy nad jeziorem w Łagowie. Pisarka przedstawia nam początek miłości: „Akurat nie przyszło im do głowy nic więcej, jak tylko gadać, gadać i jeszcze raz gadać” (s. 85). To w czasie tej rozmowy usłyszymy zadziwiający wyznanie: „Czy wstydziłbyś się przed kolegami wyręczyć żonę w dojeniu? – jeszcze raz zapytała Zuzanna, bardzo ciekawa tego, jak to jest dotykać krowiego wymienia. – Pewnie, że nie wstydziłbym się. Przecież jeśli już miałbym żonę, to byłaby dla mnie najważniejszą kobietą na świecie – powiedział to z przekonaniem, szczerze” (s. 88).

Okazuje się, że to spotkanie będzie miało konsekwencje. Przyjdzie taka chwila, że Zuzanna powie rodzinie o pochodzeniu chłopaka: „Tak czy siak, słowo PGR trzeba było wymówić” (s. 140).

Skąd obawa dziewczyny? Powieściopisarka daje nam wgląd w lęki i obawy dziewczyny: „Zuzanna zapamiętała z podwórkowych pogaduszek, że do PGR-ów wysyła się ostatnią hołotę. Pegieerus to przekleństwo. Rzuca się nim wtedy, gdy nie ma innego określenia na wyrażenie pogardy i podsumowanie czyjegoś braku kultury” (s. 140).

Co więcej, status społeczny ukochanego Zuzanna widzi również poprzez opinię duchownego, bo w świadomości lokalnej społeczności funkcjonował dowcip, „jak to ksiądz na spowiedzi tłumaczył penitentowi, że praca w PGR-ze to nie grzech, tylko wstyd” (s. 140).

To fragment dowcipny. Ale pisarka, przedstawiając obrazy drastyczne, nie namiewa się ze swoich bohaterów. Próbuje zrozumieć dziewczyny i chłopców, którzy nie potrafią mówić o swoich biografiach i o swoich afektach. Halina Grochowska pokazuje, z jak różnych światów pochodzą jej bohaterowie i że właściwie nie powinni się ze sobą porozumieć. Wydaje się, że „Poprawiny” to powieść o awansie społecznym. Tak jest w istocie. Mamy dobrą tradycję takiej prozy. Jej najwybitniejszym przedstawicielem jest Wiesław Myśliwski, wielki gawędziarz literatury polskiej. W tym kontekście ważny byłby zwłaszcza motyw „gadania”. To, co robią Józek i Zuzanna nad jeziorem w Łagowie, czyli „gadają”, to skrótowo uchwycona istota narracji powieściowej (a może i literatury w ogóle). Tylko opowieść pozwala nam zrozumieć siebie, tylko poprzez opowieść możemy zbliżyć się do innych. Nawiasem mówiąc, Halina Grochowska i tu pozbawia nas złudzeń. Myśleliśmy, że miłość zaczyna się od spojrzenia w oczy.

prof. Jerzy Madejski
Przewodniczący Kapituły LWL

LAUREATKA WAWRZYNU O SOBIE:



Jestem szczęśliwą babcią, mamą i żoną. Moje rodzinne miasto to Zielona Góra, ale wiele lat spędziłam w Gliwicach, Sosnowcu i w Jaśle. Emeryturę wypracowałam w zawodzie inżyniera elektryka – absolwenta Politechniki Śląskiej.

Od kilku lat mieszkam w małej podlaskiej wiosce pod Siedlcami. Właśnie tutaj znalazłam odpowiednie warunki do pisania.

Za jeden z nich uważam odpowiednią sytuację materialną. Pisanie jest wysiłkiem, który nie musi, przynajmniej na początku, przynosić dochodu. Trudno byłoby mi się za nie zabrać, gdyby moje dzieci potrzebowały jeszcze mojego „gównienia za groszem”.

Późne rozpoczynanie jakiegokolwiek twórczości: malowania, rzeźbienia, komponowania, kojarzę sobie z wydawaniem plonu przez brukselkę. Pierwsze owoce ta kapusta warzywna wydaje dość późno, bo w listopadzie, kiedy dla innych warzyw jest już po sezonie. Do dalszego pisania mobilizują mnie przede wszystkim reakcje i komentarze moich czytelników.

Przestaję określać je jako hobby, ponieważ z wydaniem przez moje wydawnictwo Nowae Res każdej kolejnej książki (właśnie ta jest trzecia) staje się ono pasją.



SPACERY (fragment powieści „POPRAWINY”)

Odnalazł ją. Bo obiecał. Przyszłość pokazała, że zawsze dotrzymywał słowa. Przez te parę dni, zanim to się stało, była tak rozkojarzona, zamysłona, uśmiechająca się sama do siebie, że cała załoga administracji, biura technicznego i inni zauważyli, że Zuzannę „wzięło”. Tylko jej się zdawało, że to, o czym marzy i na co czeka, nie jest dla nikogo czytelne.

Józek znał już zakład pracy, wydział. Wykonał co najwyżej trzy nietrafione telefony, zanim to właśnie Zuzanna podniosła słuchawkę. Upuściła ją z przejęcia, gdy usłyszała proste sformułowanie:

– Będę w następnym tygodniu w Zielonej Górze. Spotkajmy się.

Zaczerwieniła się wtedy tak okropnie, aż zdziwione koleżeństwo przestało pracować i plotkować.

– Kto to do ciebie zadzwonił?

– Co się stało?

– Nic, nic...

– No, no, na pewno nie nic, tylko coś...

Zuzanna miała satysfakcję, że towarzystwo biurowe było świadkiem tego, że ktoś do niej wydzwania i umawia się. W biurze dla całego działu były dwa podwójne telefony, z przyłączonymi równolegle aparatami. Nikt nie robił problemu z tego, że rozmowy prywatne były prowadzone publicznie. Od czasu do czasu na zebraniach załogi dyrektor bezskutecznie prosił, zaklinał o ich ograniczenie.

– Proszę was, nie blokujcie godzinami telefonów. Mam skargi od kooperantów z produkcji, że nie mogą się dozwonić w ważnych służbowych sprawach, bo linia wciąż zablokowana.

Prośenie nie odnosiło skutku, więc wprowadził wymóg wpisywania wszystkich rozmów do specjalnego zeszytu, z podaniem nazwy instytucji, do której się dzwoniło w celu rozmowy i jej czasu trwania. Przy okazji dodano kolumnę „wyjścia z zakładu”.

Ale bardzo często ktoś nie zdążył się wpisać, bo niby miał coś pilnego do załatwienia, a tak naprawdę szedł na miasto do kolejki coś wystać. „Kogucik” – pan Ziutek – wpisywał w rubryce „cel wyjścia” sformułowanie KNR. Dopiero po dłuższym czasie wyszło na jaw, że dowcipniś takiego skrótu używał dla określenia „knajpa na rogu”.

Nigdy, aż do dnia, kiedy odnalazł ją Józek, blokowanie służbowego telefonu nie dotyczyło Zuzanny. Do czasu! Nareszcie i do niej ktoś dzwonił i nareszcie problem zajmowania linii telefonicznej dotyczył również jej. Nawet czekała na to, żeby zwrócono jej uwagę, że ktoś za często wydzwania.

Niech wszyscy wiedzą, że mną też ktoś się zainteresował – miała swoją cichą satysfakcję.

Zauważono, że coś się dzieje. Zauważono chwile rozproszenia, roztargnienia, uśmiechanie się do siebie samej.

Oho! Patrzcie na Zuzannę. Coś się musiało u niej wydarzyć... Aha...

Spotykali się po to, żeby pogadać. Dzwonił zwykle do biura i umawiał się w jakimś charakterystycznym punkcie miasta. W Zielonej Górze nigdy, tak wtedy, jak i do dziś, takich nie brakowało. Zielona Góra była i jest miastem sprzyjającym parom. Deptak na alei Niepodległości, gdzie można się umówić się pod kinem Nysa, pod kinem Newa, pod teatrem, miejsce pod Grzybkiem (tam, gdzie do 1964 roku stała ładnie obudowana na „grzybka” stacja transformatorowa) albo w ogóle na trasie deptaka. Ktoś, kto kiedykolwiek zwiedził to miasto, wie, że jest ono wymarzone dla randek niczym Rzym albo Wenecja. Tyle w nim miejsc

do spacerów! Park miejski przy amfiteatrze na Wzgórzach Piastowskich, „park sztywnych”, czasem żartobliwie nazywany „po trupach do władzy”, bo jest urządzony na dawnym cmentarzu, prowadzący z osiedla Piastowskiego do starostwa, winnica z Palmiarnią, zazielenione, piękne miejsca w śródmieściu, obrosnięte skwery, w których zakochani mogą się ze swoimi sprawami ukryć... To były dopiero niedziele! Prawdziwe święta. Najprawdziwsze!

Zuzanna ciągle krępowała się zaprosić brzydala do domu. Na pewno dobrze będzie dla matki brzmiała informacja o ukończonych studiach i poważnym stanowisku narzeczonego, ale jak odbierze to, że jej potencjalny zięć to chłopak ze wsi? Dziewczyna bała się obojętnej albo cierpiętniczej miny matki, kiedy się okaże, że jej zdaniem córka nie miała sobie kogo wybrać, tylko wsioka, który w dodatku ani myśli ukrywać swoje pochodzenie.

Zazwyczaj spacerowali. Bo i gdzie mieli się podziak? Czasem wpadli na herbatkę do jednej w wielu kawiarni, czasem dłużej – godzinę przed odjazdem pociągu – zatrzymali się na kolejowym dworcu.

Były długie i czasami smutne rozmowy o wszystkim, dobrym i złym, co się działo w ich rodzinach, dyskusje światopoglądowe, ustalenia, co każde z nich chciałoby robić i mieć w swoim domu. I w końcu pytanie: kiedy możemy powiedzieć rodzicom o nas?

Nie było oświadczeń z wręczeniem pierścionka, ukłęknięciem przed narzeczoną, wygłoszeniem formułki i przyjęciem zrekowin, miłosnych zaklęć, uniesień, szeptaniny też nie było. Tak jakby każde czułe słówko trzeba było u Józka kupić i jakby miało wysoką cenę. Nie miał takiej nawijki jak jej koledzy ze sztabu, z zarządu albo z sekcji propagandy organizacji polityczno-społecznej – tym mówienie przychodziło lekko niczym puszczenie kolorowych baniek mydlanych. U Józka była chłopska szorstkość i powściągliwość w deklaracjach, obietnicach. Z niego był twardy chłopak. Twardy jak skała, marmur, granit. Taki, u którego słowo było ważne.

Oglądali wystawy sklepowe w sieci uliczek blisko starówki. Na ulicy Grottgera znaleźli się przed urzędem stanu cywilnego. Przypadkiem, kiedy sytuacja między nimi dojrzała. Nie wiadomo nawet, które z nich pierwsze skojarzyło sobie USC jako miejsce, do którego ostatecznie się udadzą:

– Ooo! Zobacz!

– Niestety, dzisiaj nie wstąpimy, bo już nieczynne.

– No to kiedy?

– Zaraz, zaraz sprawdzimy w kalendarzyku...

Na spotkaniu w domu Zuzanny od razu na pierwszej wizycie trzeba było odpowiedzieć na pytanie:

– No to kiedy i gdzie urządzenie ślub?

– Najlepiej jeszcze przed zimą – odpowiedzieli.

Odprowadzając narzeczonego do przystanku autobusowego, Zuzanna w ostatniej minucie przypomniała:

– Przecież ty wcale mi się nie oświadczyłeś!

– Nieprawda – odpowiedział. – Zapytałem ciebie przecież, czy jesteś ciekawa, czy warto by było za mnie wyjść. Dokładnie pamiętam, co wtedy odpowiedziałaś: „Czy warto, tego nie wiem, ale ja bym za ciebie wyszła”.

Jakby miała nie pamiętać lipcowej nocy z ubiegłego roku, przegadanej z nieznajomym, który miał dla niej zniknąć na zawsze.

– Pamiętam – roześmiała się – ale myśmy się wtedy wcale nie znali i te słowa były tylko zwyczajnym przekomarzeniem się.

– Stały się prawdą – odpowiedział, całując w usta tak śmiało, jak wypada ucałować tylko żonę albo narzeczoną.



Jerzy Madejski

SPACEROWNIK POETYCKI

UZASADNIENIE WYBORU

Książka Michała Banaszaka to poetycki przewodnik po mieście. Miasto z tomiku jest zajmujące dla przybysza z innej miejscowości. Zapewne ma powab szczególnie dla mieszkańców Zielonej Góry. Co poeta robi

w swoim mieście? Spaceruje. To uprzywilejowany sposób przemierzania się w lokalnej przestrzeni. Można nawet stwierdzić, że książka Banaszaka zawiera poetycką fenomenologię spaceru. Jak czytamy w jednym z wierszy:

*każde kolejne wyjście
jest pierwsze, od nowa
trwa mała i oszołomiona
jaźń, odporna na poczucie
czasu, istniejąca tylko w tym punkcie
i teraz*

(„Spacerowanie”)

Ale co charakteryzuje ten poetycki przewodnik? To, że jest on alternatywny; że poeta zaprasza nas do oglądania miasta z „innej strony”. Przeczytamy więc „Bajkę o wynoszeniu śmieci”, liryczną relację zatytułowaną „Dziura w jednej ścieżce”, poznamy także przybłokowe gruzowisko (s. 32). To w „Przewodniku po jednym mieście” znajdziemy słowa, które możemy uznać za kluczowe w rozumieniu poezji Banaszaka: „Popatrz od spodu”.

Tytułowe „miejsca” to nie tylko zielonogórskie ulice, to także przestrzeń domowa, swojska. Bo Banaszak oprowadza nas także po swoim mieszkaniu. Nie zaprasza nas jednak do salonu, lecz do łazienki. Nie chodzi tu jednak o to, byśmy oglądali codzienne obrządki. Tu jest inaczej. Mocą wyobraźni łazienkowy brodzik kojarzy poeta z potopem. Zresztą takich tropów kulturowych i religijnych czy metafizycznych znajdziemy w tomiku więcej. Kiedy czytamy tytuł wiersza „Funkcje diody”, to oczekujemy rymowanego wykładu z zakresu obsługi elektronicznego sprzętu domowego. I tu poeta nas zaskoczy:

*Oprócz sygnalizowania
Trybu standby, czerwona dioda
Na ścianie urzędzenia
Pełni funkcję boga*

Gdybym miał wskazać na jakąś antynomie w tomiku Banaszaka, uwypukliłbym z jednej strony przywiązanie poety do piosenki jako gatunku poetyckiego („Piosenka o polityce”). Z drugiej strony natomiast dostrzegłbym pasję poety w odślanianiu mechanizmów rytuału naszej codziennej mowy. Również tej, którą posługujemy w czasie świąt. Jak w wierszu „Boże Narodzenie”. Oto wyimek z naszych dialogów scalonych w potok słów:

*Tak że tak to jest, widzicie, poczuj magię
świąt, tylko teraz, a jeszcze pierogów wujek
poda, tamte chyba kupne, domowe, opłatek....*

Nie sądzę, by w tym kolażu poeta nas parodiował; by oczekiwał, że nasze rozmowy zawsze będą wypełnione treścią. Mamy jednak o czym myśleć.

prof. Jerzy Madejski
Przewodniczący Kapituły LWL

Michał Banaszak, „Miejsca”, wyd. na zlecenie Galerii Literackiej przy GSW BWA w Olkuszku przez Drukarnię Grafpress, Olkusz 2018

FUNKCJE DIODY

*To się docenia, budząc się w środku
nocy. Obecność tej czerwonej
plamki. W całym pokoju
jedyna odróżnia się od ciemności.*

*Upewnia, że żyję,
uzmysławia, gdzie jestem,
przypomina, jak mam na imię,
pozwala oswoić całkowicie
ciemną przestrzeń.*

*Oprócz sygnalizowania
trybu standby, czerwona dioda
na ścianie urzędzenia
pełni funkcję boga.*

DZIURA W JEDNEJ ŚCIEŻCE

*Na końcu wyrwy, wyrtej jakby przez motocykl
olbrzymia, jest dziura, z której wystają korzenie
drzew rosnących obok ścieżki. Tam się po ciemku chodzi
spijając machmol i zostawia w jej środku pustą butelkę.*

*Dziura jest zapiaszczona, czarna, nieoświetlona, śmierdząca,
wystają śmieci, na pewno popełnia się tam przestępstwa
i wykroczenia, ogrzana, oswojona, głucha, spokojna,
mijam ją codziennie i widzę, że się ciągle powiększa.*

*Tylko dzieci codziennie sobie biegają wokół
przez park i nic ich nie obchodzi niczyje relacje
z dziurą, grają w piłkę i nie wiedzą, przechodzą obok
niej jak koło martwych ptaków. Ale zwykle w miarę*

*możliwości chodzi się raczej po parkowych chodnikach
i alejkach (ludzie tylko dyskretnie ją podpatrują),
bo to się wciąż wydaje bardziej naturalny habitat
skąd nikt niby nie interesuje się wcale dziurą.*

MIEJSCA

*Miejsce między grzejnikiem a ścianą,
miejsce nawet za dnia pełne cienia,
niewidzialne, odkąd powstało,
miejsce, w które zajrzeć się nie da,*

*zawsze obecne w moim życiu,
nieosiągalne, a tuż koło mnie,
jakby najszabsza forma bytu,
miejsce ledwo istniejące;*

*miejsca schowane, zasłonięte
czymś, czasem zostają tak na stałe,
a czasem zdarza się, na nieszczęście
być nieostrożnym i trafić na nie.*

Michał Banaszak – urodził się w 1988 r. w Zielonej Górze. Absolwent prawa i filologii angielskiej na Uniwersytecie Wrocławskim, obecnie na studiach doktoranckich w zakresie literaturoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. „Miejsca” to jego drugi tomik poetycki, wydany został jako nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Kazimierza Ratonia. Pierwszy tomik – „Piosenka o rozpadzie” – ukazał się w 2016 r. w ramach nagrody w Konkursie Poetyckim im. Anny Świrszczyńskiej „Książkowy debiut poetycki”.





TATA JEST OD TEGO

Tato piszesz na serwetce? A mieliśmy pogadać!
Przepraszam synku ja właśnie o tym
że jestem od tego by podtrzymać twoją rękę
kiedy w hipermarkecie wyslizgujesz marmur
lub gdy przeskakujesz rozproszone po deszczu nieba.
I on wielki nie może tobie szorstko odpowiedzieć.

Bo tata jest od tego żeby nawet na ruchomych schodach
umieć się z tobą spierać o glutaminian sodu z dużej
paczki chipsów ale już w sklepie wziąć z półki
pomniejszoną o kompromis. W pizzerii miękko zwrócić
uwagę że z *ice tea* nie uda się wypuścić słomką baniek.

Bo tata jest od tego żeby rozpoznać gdy za twoimi plecami
telewizja bez fonii wikła news i poganianych kolbami
mógłbyś wziąć za uczestników zabawy w jedzie pociąg.
A potem zobaczyć jak się ich układa na pustyni w kolejowe
podkłady którymi wstrząsa przejazd złowrogiego widma
i z powrotem zabiera do prochu.

Bo tata jest od tego byś się wtedy nie odwrócił.
Zna twoją dorosłość i pyta o sosy ulubione dodatki.
O kolegów z nowej szkoły. Czy dogadujesz się z mamą?
Widujesz starszych braci. O gry u ciebie na topie.
A gdy oznajmiasz – Mam fajną strzelankę na tablet.
To choć zabijasz w niej tylko na niby i tych złych.
Tata jest od tego by się z tym nie godzić a jeśli trzeba
zapisać serwetkę tobie na jutro.

MAREK STACHOWIAK – (ur. 1963) laureat wielu konkursów poetyckich, m.in. nagrody głównej na VI Ogólnopolskim Festiwalu Poetyckim im. Wandy Karczewskiej w Kaliszu 2016. „Tata jest od tego” to debiut książkowy autora, wyróżniony nominacją do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2018.

Poeta, wielokrotny laureat Turniejów Jednego Wiersza. Prowadzi *Slamy Poetyckie* w ramach Festiwalu Poetyckiego „FurmanKa w drodze”. Wspiera i inicjuje wiele projektów poetyckich. Mieszka we wsi Ciecierzyc pod Gorzowem.

SKRYPT

Sorry to nie mój klimat i miałem tobie powiedzieć
że moja noga tu nie postanie. A potem już tylko
nie przewidywałem żadnego kłopotu z rękoma.
Chwywania za łokcie. Wkładania pod pachy.
Nerwowego splatania palców na brzuchu.
Zero zakłopotania obok kropielnicy tylko wyczekać
na chór gospel w którym śpiewasz zaraz po ogłoszeniach
żeby niewielki wiejski kościółek nasyciło importowane
sacrum.

Ale jednak stałem w środku i z mosiężnych tabliczek
przykręconych do ławek dedukowałem abonament na
miejsca siedzące.
8.30 małżeństwa. 11.00 wdowy. Zagłuszałem to coś
co szeptało mi w głowie – *ja ciebie chrzczę ja ciebie...*

DOM TRADYCYJNY L 11

Po dwóch piwach zapytałeś: *Czego ty kurwa chcesz?*
To było trzeźwiące aż się zastanowiłem
czy w istocie obchodzą mnie prawa seksualnych mniejszości.
Co im przyniesie Chrystus polski król?
Jak się napiszą księgi sędziów?
Konstytucja. Czy in vitro zastąpi boski cień?
Dokąd zajdzie marsz ONR?
Jeśli za płotem nie goreje mi krzew. Nie wywieszam flagi
a ogród zasobny mam w kamienie.

Rozstaliśmy się po trzecim nadal dobrosąsiedzko.
Wieczorem powiało zimną Zośką i rozpałałem dodatkiem
ulubionej gazety.
Akurat płonęła mapa Szwajcarii którą zęgałem
ironicznym uśmiechem.
Ja frankowy mieszkaniec bożego zapiecka. Szczęściarz
który na raty za oknem ma las
mchy porosty braci mniejszych. Kluczem jeszcze trafia w zamek.
Pamięta gdzie parkuje auto. Zna lokalne księżycowe drogi.
Piaszczyste pobocza.
A dziury po meteorach niekiedy zaklina w zakrętach
trzykroć po niemiecku.
Któremu nawet ptaki na przydrożnych drutach siadają w nuty.
Czego kurwa mogę chcieć więcej – niż ciszy pod miotłą?

PANI Z SATURATOREM

Album ze zdjęciami starego Gorzowa stał się sensacją. A dotyczy tylko lat 60. i 70. ubiegłego wieku.

Na okładce saturator, z którego sprzedawano wodę gazowaną lub z sokiem. Piło się ze szklanki, dla wszystkich tej samej, tyle że przepłukanej odrobiną wody funkcjonującej w obiegu zamkniętym. Wózki należały do firmy MHD, czyli do Miejskiego Handlu Detalicznego. Sprzedawczyni ubrana była w biały fartuch i koniecznie białą chustkę na głowie. Daszek nad urządzeniem dawał poczucie chłodu. Bo woda z bąbelkami w upalny dzień to wtedy był naprawdę rarytas.

Saturator stał przy ulicy Juliana Marchlewskiego (dziś Wełniany Rynek) u wylotu ulicy Braniborskiej, a w tle widoczny jest budynek arsenału. Ani ulicy Braniborskiej, ani arsenału już nie ma. Na zdjęciu widać jeszcze druty linii tramwajowej, która jakby otaczała arsenał, aby z ulicy Chrobrego wjechać w dzisiejszy Wełniany Rynek. Obok jeszcze chyba kiosk, pan w garniturze na zakupach, pani w źle dopasowanym biustonoszu, dzieci zajęte zabawą...

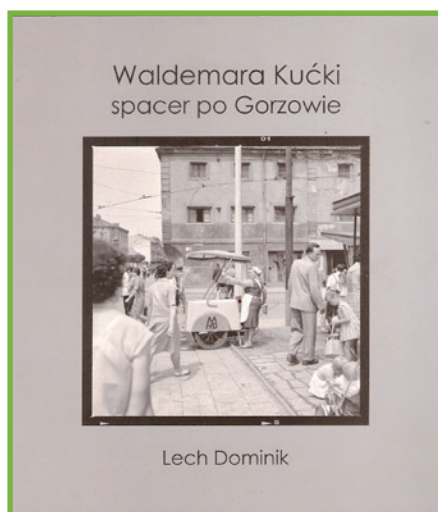
Fragmencik codziennego życia w centrum Gorzowa przed około półwieczem. Fizycznie miejsce to istnieje, ale wygląda zupełnie inaczej. Nie ma arsenału, nie ma ulicy Braniborskiej, inaczej się ubieramy, a na takie saturatory nie zgodziłby się Sanepid.

Waldemar Kućko pochodził z Wilna. W 1945 roku, jako 13-latek, z matką przyjechał do Gorzowa. W 1953 roku skończył Technikum Fotograficzne w Łodzi i wrócił do Gorzowa. Zatrudniony został w Zakładach Włókien Chemicznych „Stilon”, by dokumentować życie zakładu, potem jako fotoreporter związany był z redakcjami dwutygodnika „Stilon Gorzowski” i dziennika „Gazeta Lubuska”. Dokumentował życie „Stilonu” i Gorzowa. Chodził zawsze z aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi. Zdjęcia robił – wydaje się – bez przerwy, ale zawsze miał duże ambicje artystyczne. W 1972 roku, jako pierwszy na Ziemi Lubuskiej, został przyjęty do elitarnego Związku Polskich Artystów Fotografików na podstawie zdanych trudnych egzaminów i wystawy artystycznych zdjęć.

Zmarł nagle w 1981 roku. Miał wtedy 49 lat.

Filmy z jego zdjęciami Elżbieta Kućko, żona Waldemara, przekazała do Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta. Szacuje się, że jest na nich około 32 tys. zdjęć. Długo czekały na opracowanie, ale nareszcie mamy narzędzia odpowiednie do ich przetworzenia i zachowania. Każde trzeba zeskanować i zapisać w formie elektronicznej. Doskonała współczesna technika ma też to do siebie, że wychwytyje każdą usterkę, plamkę, zaciemnienie, a wszystkie te mankamenty trzeba starannie usunąć. Obecnie w zasobach muzeum jest przetworzonych elektronicznie ok. 15 tys. zdjęć. Prace trwają.

Spośród ogromu zdjęć, które już są w dyspozycji pracowników muzeum, Lech Dominik, także artysta fotografik, wybrał tylko 340 do pierwszego albumu, bo w planach są następne.



Ułożył je w formie spaceru po Gorzowie w sześciu częściach:

I – Sceny rodzajowe, czyli rejestracja zwykłych scen i sytuacji z centrum miasta,

II – Arsenał – ulubiony motyw artysty, budynek stojący przy ul. Chrobrego, między ul. Jagiełły i Wełnianym Rynkiem, w zasadzie zabytkowy, ale w tamtych latach popadający w ruinę, w końcu rozebrany, bo przeszkadzał w układzie komunikacyjnym,

III – Rzeka Warta – do dziś niby ta sama, ale wtedy jakże inna ze względu na funkcję go-

spodarczą, jak i miejsce rekreacji,

IV – Jan Korcz – malarz, legenda artystycznego Gorzowa,

V – Miasto – obraz zmieniającej się architektury, miejsca, których już nie ma,

VI – Tramwaje – gorzowski znak rozpoznawczy.

Każde zdjęcie domaga się szczegółowej analizy, wychwycenia nawet drobiazgów, ale jakże ważnych dla życia w tamtych latach. No i zastanowienia, jak zmienił się Gorzów przez minione prawie półwiecze.

Waldemar Kućko najbardziej lubił zdjęcia w formacie 6 x 6 cm, czyli kwadratu. Dla wielu artystów jest to format bardzo trudny, bo jakby sprzeczny z widzeniem świata ludzkim okiem. Natomiast dla Kućki był najbardziej wdzięczny, bo umożliwiał mu rozwinięcie obrazu zarówno w górę i dół, jak i na szerokość.

W albumie jest 340 zdjęć. Książka waży 1,20 kg.

Choć album wydany był w 500 egzemplarzach, dla co najmniej połowy chętnych zabrakło książek. W kolejce dominowali młodzi, dla których nazwisko Waldemara Kućki może być tylko częścią legendy o naszym mieście, bo przecież artyści nie znali. Na szczęście dyrekcja muzeum szybko zleciła dodruk i album już można kupić.

Ogromne zainteresowanie albumem ze starymi zdjęciami jest dowodem emocjonalnych związków mieszkańców ze swoim miastem, dowodem zainteresowania historią i kulturą. Tak duże zainteresowanie tym albumem i historią Gorzowa to oczywisty sygnał dla zarządzających kulturą, że forma i liczba ofert związanych z przeszłością powinna być znacznie większa. Jeszcze raz kłania się idea muzeum historii miasta Gorzowa.

Za album „Waldemara Kućki spacer po Gorzowie” Lech Dominik dostał nagrodę za najlepszą książkę popularnonaukową wydaną w ubiegłym roku w województwie lubuskim, czyli tzw. mały Lubuski Wawrzyn Naukowy.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

Lech Dominik, „Waldemara Kućki spacer po Gorzowie. Lata 60. i 70.”, wyd. Nadwarciańskie Towarzystwo Upowszechniania Dziedzictwa Kulturalnego w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2018, 364 s.